

Zbigniew Pawlak

Przyjaciel nie wszędzie ceniony

Dni Oświaty, Książki i Prasy obok setek imprez z tej okazji organizowanych, są dorocznym okresem dokonywania bilansu stanu czytelnictwa w naszym społeczeństwie. Warto przy tej okazji zastanowić się, jak aktualnie przedstawia się czytelnictwo książek w naszym województwie; czy czytamy dużo, czy też mało i jakie mamy materialne warunki do dalszego rozwoju w tym względzie.

Przed trzema laty Instytut Książki i Czytelnictwa w drodze szerokiej ankiety zebrał materiał, z którego wynika, że mieszkańcy dużych miast jako pierwsze źródło, z którego czerpią książkę, podawali zakup w księgarni, następnie pożyczanie od znajomych, a dopiero jako trzecie źródło wymienili bibliotekę publiczną. Inaczej zupełnie przedstawia się ta sprawa wśród mieszkańców wsi i małych miasteczek, którzy sięgają po książkę głównie z półki biblioteki publicznej, a dopiero drugim źródłem jest zakup własny.

SOS dla wsi i miasteczek

Najniekorzystniej czytelnictwo rozwija się wśród mieszkańców wsi i małych miasteczek. Słusznie więc Ministerstwo Kultury i Sztuki postuluje w czasie tegorocznych „Dni” zwrócić szczególną uwagę na aktywizację tych właśnie środowisk. Jeśli jednak prawdą jest, że podstawowym źródłem zaopatrywania się w książkę tych grup naszego społeczeństwa jest biblioteka publiczna, to należałoby kilka uwag poczynić o sieci i pracy tych placówek. Książka musi znaleźć się blisko czytelnika. Niewiele znajdziemy chętnych do szukania książki w bibliotece odległej 10–15 km od miejsca zamieszkania. Zadanie skrócenia do minimum odległości między książką a czytelnikiem może spełnić dobrze rozbudowana sieć bibliotek. Mimo niewątpliwych rezultatów w rozwoju tej sieci, mamy jeszcze wiele miejscowości pozbawionych zupełnie obsługi bibliotecznej. Pełną lub prawie pełną sieć placówek bibliotecznych na wsi ma zaledwie kilka powiatów naszego województwa (Leszno, Krotoszyn, Międzybóże). Ponad 6500 wsi woj. poznańskiego nie posiada do tej pory obsługi bibliotecznej.

Czy istotnie tak trudno uruchomić na wsi bibliotekę? Przecież wymogi lokalowe nie są zbyt wygórowane. Wystarczy tutaj nieduży lokal, tanie, proste meble, wymienny w sieci bibliotek gromadzki niewielki księgozbiór oraz zdolny do prowadzenia takiej placówki człowiek. Wzrost oczekuje tu od rad narodowych większej pomocy organizatorskiej, koncepcyjnej i oczywiście finansowej. A tego typu pomocy w przeszłości nie stawało. Szczególnie dużej pomocy należałoby udzielić wschodnim powiatom naszego województwa (Koło, Konin, Sępólno, Turek), które z historycznie zrozumielijszymi względami posiadają znacznie gorszą bazę materialną do upowszechnienia kultury i oświaty niż pozostałe powiaty. Rozszerzenie sieci bibliotek na wsi będzie przebiegało najczęściej drogą adaptacji istniejących pomieszczeń. Lecz nie wszędzie takie pomieszczenia się znajdzie. W uchwale Prezydium WRN z marca br. czytamy „Prezydium WRN spowoduje, by w budownictwie obiektów socjalno-kulturalnych (szkoły — domy kultury, świetlice, remizy strażackie, agromówki, lekarzówki itp.) planowano pomieszczenia i urządzenia dla bibliotek”.

Należy więc mieć nadzieję, że jeśli ten punkt uchwały będzie konsekwentnie i rygorystycznie realizowany, nastąpią w niedługim czasie poważne zmiany w sieci naszych

bibliotek. Plan 5-cioletni dla naszego województwa przewiduje na wsi wzrost placówek bibliotecznych o 118 bibliotek i filii oraz o 1500 punktów bibliotecznych.

Wzbogacić księgozbiory

Dobra sieć bibliotek, jakie takie lokale to jeszcze nie wszystko. Niezmiennie ważnym warunkiem wpływającym na właściwy rozwój czytelnictwa jest stały dopływ nowych książek do bibliotek. Czytelnicy poszukują w bibliotece już nie jakiegokolwiek książki lecz książki

ciekawej i interesującej, książki o której przeczytał informację w prasie, usłyszał w audycji radiowej lub telewizyjnej. A ta książka mieści w sobie nie tylko miasteczka w swojej bibliotece często nie znajduje. Księgozbiory w naszych małych bibliotekach są ilościowo bardzo skromne, minimalnie uzupełniane nowymi pozycjami. Księgozbiory wiejskie wymagają szczególnie intensywnego uzupełnienia. Wiele powiatowych rad narodowych skłapi kredytów na zakup nowości wydawniczych.

O tym, że dopływ nowych książek do bibliotek publicznych jest słaby mówią nam następujące liczby: w 1961 r. na zakup książek do bibliotek publicznych w przeliczeniu na 1 mieszkańca wydano w kraju 1,60 zł, w woj. poznańskim (bez m. Poznania) już tylko 1,40 zł, a np. w takim powiecie tureckim wydano zaledwie 0,23 zł. Podobną sytuację obserwujemy w kilku innych powiatach naszego woj. Należy jeszcze dodać, że znaczna część zakupionych książek pozostaje w bibliotekach — miasta powiatowego. Aby poprawić ten stan rzeczy Wojewódzka Rada Narodowa uchwiliła niedawno niebagatelną kwotę, bo 1,5 mil. złotych z nadwyżek budżetowych na zakup książek i wyposażenie bibliotek. Tak wysoka dotacja wpłynie na pewno na znaczną poprawę ilości i jakości księgozbiorów w bibliotekach.

Za mało dorośli czytelników

Wreszcie kilka słów o korzystających z bibliotek tj. o czytelnikach. Czy jest to duża grupa

Dokończenie na str. 3

Piotr Życki

DRUGI START

Mapa wyglądała niewinnie, a odległości pomiędzy czerwonymi punktami — nie wydawały się wielkie. W rzeczywistości rajd po zaznaczonych barwnymi kółkami miejscowościach wymagał całodziennej włości samochodem.

Ala warto było. Gnieźnieńskie stanowi bowiem w tej chwili kliniczny obraz zachodzących w naszym rolnictwie przemian.

— Pan widział Pomorzany? — zapytano mnie w Inspektora cie PGR Gniezno. — Radzimy w takim razie, dla kontrastu, pojechać do Mielna. — Na wczasy to jeszcze za wcześnie — pomyślałem, ale szybko wyprowadzony zostałem z błędu: istnieje nasze, bynajmniej nie nadmorskie, Mielno.

Trójka robotników na rusztowaniu, wspartym o ścianę chyba magazynu. Świeża czerń papowych dachów. Kuźnia, odnowiona pięknie, choć jeszcze bez dachówki. A pośrodku podwórza młocarnia opatulona brezentem, jakieś przycepy, siewniki, jeden z kilku przydzielonych nowo zorganizowanemu PGR traktorów.

Kierownik otwiera drzwi opustoszałego domu. Usunięto stąd lokatorów, bo sufity groziły zawaleniem. Po remoncie — wróca. Remont nastąpi w tym roku. W tym roku poza tym ma stanąć tutaj nowa stodoła, a nowy mur, w miejscach zwalonych, zważy jakoś pokieroszowany podworec gospodarstwa w całość.

Za bramą przerażająca pozostałość dawnych czasów: słomą kryte, wyjątkowo nędzne czworaki. Już niemal puste. Kobieta, która właśnie bluznęła na drogę zawartością kubła, reprezentuje ostatnią z czekających na nowe mieszkanie rodzin.

Cudów nie ma, wygrzebać Mielna z zaniedbań w ciągu roku się nie da. I tak zrobiono tu mnóstwo. Jeszcze ubiegłej wiosny przeszło połowa gruntów w tej wsi nie została uprawiona. W rozwalonej oborze stały nieliczne sztuki bydła. Jest ich teraz w naprawionych zabudowaniach mielnieńskich 200. Obrządzają je ci sami ludzie, którzy, z pomocą maszyn, uprawili w tym roku wszystką swoją ziemię: niedawni parcelanci, obecnie robotnicy państwowi.

Ci sami ludzie — inna robota. To zastanawiające. Gorzej pracowali, gdy ziemia była ich prywatną własnością — lepiej pracują na państwowym. Rozmach socjalistycznej gospodarki dodał im ducha. Najpierw patrzyli na przysłane maszyny. Potem byli świadkami remontowania budynków. Widzieli budowę linii elektryfikacyjnej. Dostali stałe place. Nadszedł transport bydła; tyle nigdy go jeszcze w Mielnie nie było. Gorzelnia da wywar. Zacznie się tucz opasów.

*) Porównaj pozycję pt. Decyzja w „Głosie Tygodnia” z 6 bm.

Czasem ludzie potrzebują, aby ktoś za nich pomyślał, zarządził. Gotowi rzetelnie współpracować. Mielno nie jest wyjątkiem. 10 wsi parcelanckich w Gnieźnieńskim, absolutnie z własnej woli, zgłosiło u władz powiatowych petycję, aby zorganizować u nich państwowe gospodarstwa rolne. Właśnie tak: nie spółdzielcze, lecz państwowe.

No i spróbowano. Na dwu i pół tysiącach hektarów zaczęła się planować robota.

W sumie — cholerny wysiłek. Nagle zwiększył się gnieźnieńskim PGR-om areal o jedną czwartą, wskaźniki przeciętnych planów i obsady inwentarza zaczęły lecieć — w związku z przejmowaniem zaniedbanych ziem — na łeb na szyję. Potrzebna była energiczna akcja.

Powstały trzy dodatkowe brygady remontowe. Wyjednano w Zjed-

Z reporterskich wędrowek

noczeniu PGR blisko 2,5 miliona złotych na maszyny. Kadrowe rezerwy odkomenderowano na nowe gospodarstwa. Gdzie tylko się dało, tym, którzy nie podjęli w PGR-ach pracy — zamieniono grunty, aby uniknąć enklaw. Naciśnięto partyjne sprężyny. Do powiatu zjechali członkowie Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego dla naocznego zapoznania się z problemem nowo organizowanych PGR-ów.

Dziadkowo jest uroczę. Rano PGR-owski mleczarek dzieci wiezie, bo do szkoły mają szmat drogi. Dwanaście kilometrów do kolei stąd jak obszył, a do PKS-u połowa tego. Ale jest tu ładne jezioro, ładny park, no i gospodarstwo...

Oceńcie sami. Odnowiono budynek administracyjny z przyzwyczajenia pałacem nazywany, wszystkie dachy są nowe, pośrodku podwórza szopa na maszyny, kuźnia i stelmacharnia prawie od podstaw zbudowane, spychacz wyrównuje teren, zorganizowano odczarnię, fermę z tysiącem kaczek, 115 jałowic wychowuje się w bezgruźliczej oborze, w parku podworskim paskudne szopki i kopce zastąpiono ławkami.

Ludziom nowe porządki przysły w sukurs. Lada dzień będzie elektryczność w Dziadkowie, na głowę

nikomu się już sufity nie syją. O chlewach dla „ludzie” inwentarza PGR-y też pomyślą. Tu i tam widać nowe okna w mieszkaniach, wewnątrz można obejrzeć nowe podłogi. A wejścia na podwórza strzegą porządne bramy.

Tam, gdzie rok temu zbierano z hektara 6, najwyżej 12 kwintali zboża — tego lata chcą uzyskać grubo więcej. Nowi kierownicy wylazła ze skóry, aby podjąć nawalowi roboty. Personel nadzorujący z powiatowego Inspektoratu PGR wiecznie tkwi w terenie. Ten trud domaga się jakiejś odrębnej oceny, jak odrębna jest praca w nowych PGR-ach. Dyrektor Kowalski, władający państwowymi gospodarstwami rolnymi w Poznańskim uznał, że osobne rozliczanie przejętych ziem jest konieczne. Inaczej najprawdopodobniej dostaliby po kieszeni. Im więcej nowo zagospodarowanych gruntów, tym niższe przeciętne wskaźniki, im niższe wskaźniki...

Pozostaje do załatwienia sprawa szeregowych pracowników, którzy pracują w warunkach — no, o 25, 50 a może o 75 proc. trudniejszych, niż ich koledzy w dobrze zaprowadzonych PGR-ach.

Mapa powiatu Gniezno czerwieni się dziesięcioma punktami. To nowe PGR-y. Za rok, najdalej za dwa lata — dojdzie ich jeszcze 19. Będzie wtedy państwowych gospodarstw w Gnieźnieńskim niemal 70. Skupią one poważny odsetek ogólnego arealu ziemi.

Na gwałt przepracowuje się więc w Inspektoracie perspektywiczne plany. Mają tam już dokładną znajomość tego, co wypadnie im przejąć. Uda się uniknąć szeregu inwestycji. Natomiast podskoczy w planie ilość remontów, przeróbek. Pilnie potrzeba więc 18 milionów złotych. Zwrócić się one szybko. Ale trzeba je mieć...

Bo to niezwykle ważne, nie tylko gospodarce zagadnienie. Na przykład w Łubowicach — wszyscy parcelanci, co do jednego, weszli w skład załogi nowego PGR. Podobnie gdzie indziej. To jest drugi start życiowy tych ludzi. Powinien być i chyba będzie udany.

A może chodzi tu o coś więcej. To zamienne, że gnieźnieńscy parcelanci nie spółdzielcze lecz państwowe wybrali gospodarowanie. Kto wie?

Józef Pieprzyk



Na Dzień Działacza Kulturalnego

Położyła swoje spracowane ręce na stoliku. Spod kolorowej chusty wysuwały się na skronie posrebrzone włosy. Z całej jej fizjonomii biła dobroć, która uśmiecha i budzi zaufanie.

Jakoś to wrażenie nie harmonizowało mi z jej życiorysem. Mąż kował zmarł na tyfus w roku 1941

z braku opieki lekarskiej. Skazana na własną zaradność, borykała się o chleb powszedni, o dach i o swój największy skarb — jedynego syna. Takie życie nie mogło nie odbić się na jej zdrowiu. To ją też przygnębiło psychicznie, odebrało wiarę we własne siły. Dzięki jednak dobrej opiece niebezpieczeństwo zostało zlikwidowane. Lekarz rozwił jej kompleks zniechęcenia, dodał otuchy. To właśnie dobre słowo leczącego stało się cenną monetą i zaczęło przynosić procent. I mieszkańcom całego Chrustowa i jej osobie.

Kobiety z tej małej, bo liczącej zaledwie 40 domów wioski obdarzyły ją funkcją przewodniczącej Koła Gospodyń Wiejskich. Ale zebrania w powiecie były dla niej gorzkie.

— Wszystkie inne przewodniczące mogły się w Chodzieży pochwalić osiągnięciami swoich kół. A ja — nie miałam do powiedzenia. Popłakałam się nieraz z tego powodu.

Członkinie mawiały mi: — Mamy pociąg składki i nic z tego nie mieć?

— Trzy lata temu — ciągnęła dalej p. Jadwiga Kruszowska — koło nasze dostało kurczaki, rok temu nasiona na konkurs o najlepszy ogród warzywny. Zaczęło się ciche współzawodnictwo między uczestniczkami, aby nie robić sobie wstydu i aby ludzie z powiatu nie powiedzieli źle o naszym Chrustowie. Otrzymałyśmy wtenczas w nagrodę za dobre wyniki siewnik do warzywni.

Pani Jadwiga wspominała jeszcze o dwóch kursach. Jeden obejmował szycie, ostatni — kurs pieczenia. Ten ostatni przyczynił się do tego, że ostatnio w każdym domu na stole wielkanocnym pyszniły się babki i torty, zrobione przez gospodynie.

To tylko jedna z inicjatyw Pani Jadwigi i jej Koła.

Dokończenie na str. 3



Góry Stołowe II

Linoryt St. Mrowińskiego

Zbiłut Sek

Minuty kradzione codziennie

Szukamy traconego czasu w kolejce przed farmaceutką, obliczającą mozołnie 33-procentową zniżkę w opłatach leków; w wędrownie do czynnego automatu telefonicznego; w złej informacji w biurze. To prawda, tu tracimy czas. Lecz ile tracimy? To trudniej określić. Kolejki w aptekach są na ogół w okresie grypy, a więc dwa razy do roku, nie wszyscy też codziennie telefonują lub załatwiają podanie w biurze. Wszyscy natomiast i codziennie kupujemy w sklepach.

W aptece, w biurze tracimy kwadrans, w sklepie — minuty. Lecz straconych „kolejko-kwadransów” jest mniej niż „pasażero-minut” w oczekiwaniu na tramwaje, chodzące zwyczajowo stadem. Więc minuty mogą być większe od godzin. Może ktoś pokusi się o statystyczne wyliczenie pełnego-godzin i tygodni. Ze swej strony spróbuję ujawnić przyczyny codziennego „urywania” nam czasu przez handel i usługi.

Zmarnowane lata

Przynajmniej minęła już era kolejek po chleb, masło, po buty i pralki. Wówczas był to problem małej ilości towarów i sklepów, prze starzałych form obsługi. Dziś są SAM-y, sklepy preselekcyjne, półki ich uginają się na ogół od towarów. Tym bardziej więc denerwuje klienta sklepów samoobsługowych ścisł przy koszykach lub kolejka do kasy. Tej straty czasu nie może już dziś zrozumieć. Źródła marnotrawstwa nie należą bowiem do tzw. obiektywnych.

Poznański handel dał się ukość dawnym nad nim zachwytał, kiedy to pierwszy zaczął wprowadzać samoobsług i preselekcję. Z jego doświadczeń skorzystał inni i dziś w niejednym wielkopolskim miasteczku sieć handlowa jest bardziej zmodyfikowana niż w stołecznym mieście. Klient przekonany bez reszty do nowych form szuka w SAM-ie wolnego dla siebie czasu, lecz zatrzymuje go powolna cyrkulacja nielicznych koszyków, lub kolejka do kasy, bo komuś z personelu nie chciało się przysiąść do rezerwownej kasy. Kupiwszy masło, ten sam klient musi trwonić czas w drugim sklepie lub SAM-ie, by nabyć mięso, w trzecim zaś — proszek do prania. To znów wina handlu (nb. nie tylko poznańskiego), który nie ma jeszcze wyrobionego zdania na temat rejonizacji i specjalizacji sklepów.

Powie ktoś — co tu rozdzierać szaty, chodzi przecież o minuty. Rządę pomnożyć je przez liczbę codziennych klientów. Wyjdą całe zmarnowane lata.

Detaliczna gospodarka

Rzadziej kupujemy towary przemysłowe. Wówczas tracimy jednak godzinę na poszukiwanie potrzebnego artykułu, który w ogóle jest, ale akurat nie w odwiedzanych sklepach.

Tutaj również zawodzi modernizacja i specjalizacja. Niewielkie z reguły lokale nie są w stanie pomieścić wszystkich towarów. (Przypomnijmy: żeby pokazać klientowi tylko odzież męską, trzeba by wystawić 5.000 sztuk, a gdzie wówczas pomieścić niezbędne zapasy, do sprzedaży?) Drobnosklepowa gospodarka w Poznaniu utrudnia bowiem łączenie kilku lokali w jedno pomieszczenie o dużej powierzchni sprzedażnej i przepustowości.

Nawet w nowych, przestronnych sklepach preselekcyjnych — które mają klienta przybliżyć do towaru — nie widzi on pełnego wyboru sprzedawanych artykułów. Projektant i plastyk więcej zadbał o estetykę i nowoczesność niż przydatność handlową pomieszczenia. I tu również nie obejdzie się kupujący bez czekania na informację, czy jest poszukiwany sprawunek; nie uniknie również wycieczki do kilku co najmniej placówek. Zlikwidowaliśmy w dużej mierze

kolejki do lady, nie udało się jednak zlikwidować wędrówek po sklepach. Czas więc jest w dalszym ciągu tracony.

Usługowy rozkład jazdy

Również wiele tracimy go przez usługi. Wie o tym najlepiej posiadacz naprawionego telewizora, pralki, maszyny do szycia, obuwia, żelazka, do którego w warsztacie brak ciągle termostatu. Wie też o tym klient pralni, odbiorca opału, którego nie dowieziono mimo zapowiedzi itd. itp.

W wielu wypadkach stracony tu czas trzeba liczyć podwójnie: mało tego, że marnujemy go

przez bez troskie „przjdź pan znów za tydzień”, marnujemy również piorąc w tym okresie w balii zamiast w pralce, jeżdżąc tramwajem, zamiast motocyklem, który akurat czekał bezskutecznie w warsztacie na śrubkę.

O ile usługowcy mogą się czasem wytłumaczyć brakiem części, surowca, itp. trudno zrozumieć stratę czasu wynikłą z dowolnego okresu otwarcia punktów usługowych. Handel już dość dawno zdobył się na uporządkowanie swojego „rozkładu jazdy”, ale w działalności usługowej nadal panuje całkowity bałagan. Obok warsztatu naprawy telewizyjnych, czynnego w godzinach 10—18 jest warsztat szklarski otwarty w godz. 8—16. Punkty przyjęć prania czynne są do piątej, naprawione obuwi odebierać można między 8—12 i 14—18...

Wymienione tu kilka źródeł społecznego marnotrawstwa czasu mają mniej lub więcej uzasadnione przyczyny. Trudno spodziewać się szybkiej poprawy w sieci placówek handlowych i usługowych. Prędzej można liczyć na uporządkowanie specjalności, lokalizacji, przepustowości i „rozkładu jazdy”. Ale to wszystko doraźne środki. Trzeba sobie zdać wreszcie sprawę, że wadliwa organizacja handlu jest największym, bo najczęstszym, źródłem naszego czasu. Nie ma co chyba przypominać, jakie to niesie społeczne skutki.

Mieczysław Zawadowski

MUR

Szliśmy u wylotu Friedrichstrasse i gapiiliśmy się na mur. Być w Berlinie i nie widzieć muru, to tyle, co zadać gwałt zwykłej ludzkiej ciekawości. Nogi same nas tu przyniosły. Jak długo jednak można paść o czy murem? Mur to mur. Gdzie mu tam do Wezuwiusza czy papieża.

Włoski dziennikarz, z którym zamieszkał w jednym hotelu, nie ukrywał rozczarowania: — I o ten płót tyle wrzasku. Mój stary też ogroził działkę, bo mu kozy sąsiada wyżerały jarzyny. Może wyda ci się to śmieszne — mówił dalej — ale nie widzę różnicy w istocie sprawy. Tylko tu skala większa.

Dwa helikoptery nadleciały z głębi Berlina zachodniego i zawisły nieruchomo tuż nad murem. NRD-owscy policjanci graniczni nie unieśli nawet głów...

Rino (mniejsza o nazwisko — Włoch twierdził, że instynkt samozachowawczy nakazuje mu unikania rozgłosu), wycelował palcem w śmigłowiec i po prostu stwierdził: — Sąsiad wlaź na drzewo.

Znany ekonomista kilonński prof. dr Baade, członek SPD, skądinąd sympatyczny człowiek, zadał sobie osobliwy trud. Postanowił mianowicie obliczyć ile kosztowała NRD otwarta granica w Berlinie. Cudze straty nie bola, w świetnej więc formie doprowadził prof. Baade dzieło do końca, lecz tylko do końca 1958 roku. Gdy już wszystko zsumował, wyszło mu 22,5 miliarda marek (112,5 miliarda złotych). Ty-

le według niego straciła NRD i tyle właśnie — dzięki otwartej na oścież granicy — przywłaszczyły sobie NRF i Berlin zachodni.

Nieco innego zdania są ekonomiści w Niemieckiej Republice Demokratycznej, którzy szkody poniesione w tym samym okresie przez gospodarkę narodową oszacowali na 30 miliardów marek, to jest mniej więcej tyle, ile w ciągu dziesięciolecia zainwestowano w modernizację całego przemysłu NRD.

I nagle wyrósł mur, który okazał się najrentowniejszą inwestycją o jakiej kiedykolwiek slyszalem. Przynosić ona będzie kilka miliardów marek rocznie.

Codziennie, z wyjątkiem niedziel, 50—60 tysięcy obywateli stolicy NRD zrywało się skoro świt z łóżek, by w przepisany czas pod-

Korespondencja własna z Berlina

jąc pracę u swoich zachodnioberskich chlebobawców.

Czyżby zabrakło dla nich zajęcia w sektorze demokratycznym? Nie podobnego, brak rąk do pracy stanowił w Berlinie wschodnim jeden z najdotkliwszych problemów. Nie trudności lecz nadzwyczajne korzyści sprężyły ich z enklawą Willy Brandta. Zwabiły ich zawrotne zarobki, chyba najwyższe w świecie i choć ledwie mieści się to w głowie — prywatni przedsiębiorcy w Berlinie zachodnim pokrywali z własnej kieszeni tylko jedną piątą tych zarobków, zaś lwia część (cztery piąte) dopłacał skarb państwa NRF.

Aby wywikłać się z afery, muszę posłużyć się pojedynczym egzemplarzem wybranym na ślepo z tej kilkudziesięciotysięcznej rzeszy „dobiegaczy”. Niech mu będzie Kurt Schlau. Zawód: murarz. Założony, że Kurt dojeżdżał codziennie z wschodniej dzielnicy Pankow na budowę przy Clayallee w sektorze amerykańskim, zarabiał, jak na wy-

kwalifikowanego robotnika przystało, 500 marek zachodnich miesięcznie. Ale to dopiero wstęp. Od czego są kantory wymiany, które dokonywały cudownego rozmnożenia. W jednej chwili 500 marek zachodnich przestało się w 2500 marek wschodnich. Z tą pensją-fortuną wracał Kurt Schlau do domu, gdzie wszystko było dla niego niewiarygodnie tanie.

Wystarczy teraz podzielić takiego umownego Kurta Schlaua 60.000 razy, by zdać sobie sprawę jak groźne zjawisko stanowili „dobiegacze”. Kantory wymiany placówki najbardziej perfidnej dywersji gospodarczej, stosując szachrajski kurs do marki wschodniej o niemal identycznej sile nabywczej co marka zachodnia, dezorganizowały rynek wewnętrzny NRD.

Zestawienie niektórych cen w Berlinie demokratycznym i w Berlinie zachodnim:

czynsz za dwupokojowe mieszkanie: 55 mrk wschodnich — 150 mrk zachodnich

1 kg chleba: 0,90 mrk wsch. — 1,20 mrk zach.

1 kg mięsa wieprzowego: 8 mrk wsch. — 8 mrk zach.

5 kg ziemniaków: 0,60 mrk wsch. — 1,50 mrk zach.

1 cetnar węgla: 3,70 mrk wsch. — 5,80 mrk zach.

1 przejazd tramwajem, metrem lub omnibusem: 0,20 mrk wsch. — 0,40 mrk zach.

Dobiegacze nadziani forszą tworzyli coś w rodzaju arystokracji robotniczej. Kiuli w oczy swoim łatwym powodzeniem. Kuriozum: pracując dla zachodnioberskiego kapitalisty swobodnie korzystali z dobrodziejstw ustroju socjalistycznego. To wszystko demoralizowało otoczenie, działało na wyobraźnię, pociągało innych.

Pieniądz to wredny, lecz silny argument. Nie tak trudno przy jego pomocy narobić zamieszania. Ten temat mogłoby wyczerpująco omówić zachodni naganiec, których tabuny buszowały swego czasu w stolicy NRD. Werbowali do Republiki Federalnej wysoko kwalifikowanych robotników, świeżo upieczonych inżynierów, absolwentów wydziału lekarskiego. O tak, można zapłacić lepiej jeśli w wykształcenie tych ludzi nie włożyło się ani feniga.

I nagle z dnia na dzień pięknie rozwinięty interes diabła wzięli. Doszczętnie i z kretelem. Otwarte wrota zakażenia (medyczny termin pasuje tu jak ulał) zostały zatrzasnięte na giacho.

Nie sposób usunąć wielkiego zła bezbolesnie. Betonowy mur, Bóg raczy wiedzieć na jak długo rozdzielił wiele rodzin. Dzieci od rodziców, siostry od braci, przyjaćci, długoletnich znajomych. Nie mogą się teraz widywać, ani odwiedzać.

Magistrat Berlina demokratycznego zrobił wszystko, by załagodzić te osobiste dramaty.

Widziałem na własne oczy odpis pisma nadburmistrza Ebarta do przewodniczącego senatu Berlina zachodniego Willy Brandta w tej sprawie. Proponowało się w nim utworzenie dwóch biur podróży w Berlinie zachodnim, ale umiejscowionych na dworcach szybkiej kolei (S-Bahn) należących do NRD. Biura te wyuwaliby zezwolenia na odwiedzanie krewnych.

Pismo pozostało bez odpowiedzi. Wówczas władze Berlina demokratycznego uruchomiły biura na własną rękę. Już pierwszego dnia na dworze Am Zoo przybyły setki ludzi ubiegających się o przepustkę. Po godzinnej działalności biura wpadł na dworzec pluton policjantów i rozpedził tłum pałkami.

Wiedzie co rzekł Willy Brandt? Oświadczył, że nie może przyjąć propozycji Ebarta, gdyż byłoby to równoznaczne z uznaniem NRD.

Rino, włoski dziennikarz, który nie pragnie rozgłosu ozdobił wypowiedź Brandta następującą uwagą: — Aby być na Zachodzie wziętym mężem stanu — wystarczy nie uznawać rzeczy, oczywistych.

Bogusław Kogut

Druga strona sportowego medalu

Tegoroczny Wyścig Pokoju stał się nieciekawym. Nie dlatego, że nie ma walki, że sportowy poziom spadł.

Ale organizatorzy uczynili wszystko (a w każdym razie bardzo wiele) w tym kierunku, aby kibica jak najbardziej oddalić od Wyścigu. Nie ma na trasie helikoptera, radiowozom nie wolno miać małych grup kolarzy — w konsekwencji kibic siedzi przy telewizorze i radioodbiorniku, kręci galkami i nie wie do ostatniej chwili. Potem z prasy dowiaduje się, że motocykle zajeżdżają naszym kolarzom drogę, a Belgowie trzymają ich za siodełka.

Oprócz tych wszystkich pechów, złośliwości losu i niedoświada w obsłudze informacyjnej jedna jeszcze sprawa jakoś mnie „gnębi”, a mianowicie jazda indywidualna na czas i dzielenie etapu na dwie zupełnie nie podobne do siebie historie. Najpierw jadą pojedynczo pół setki kilometrów, potem wszyscy razem półtorej setki, a wszystko to jest jeden etap. Pół setki w pojedynkę zmienia, obala do góry nogami wyniki jazdy zespołowej na tysiącach kilometrów. Czy więc nie lepiej byłoby cały wyścig ograniczyć do tej próby jazdy samotnej (skoro ona i tak decyduje o wszystkim), a darować sobie te tysiące kilometrów kręcenia w ze społach?

Na drugim półetapie (dłuższym zresztą niż niejedna próba) — widzimy szalony finisz, ale zwycięzca nie dostanie wienca ani nie stanie na podium zwycięzców. Mówicie co chcecie, jest coś nieprzyjemnego w takim stawianiu sprawy. Tysiące ludzi na stadionie (a ile przy telewizorach?) widzą i przeżywają ten finisz, potem na

tychmiast tracą z oczu tego, co był pieruszy, co wygrał na ich oczach, by w honorach zobaczyć kogoś innego.

Nie posądzajcie mnie, proszę, o narodowy szowinizm, że chodzi mi o to, iż na podium w Karl-Marx-Stadt nie stanął Polak Zieliński. Wierciecie mi, te refleksje nawiedzały mnie wtedy, kiedy na ostatnich kilometrach prowadził samot-

nie Niemiec Ampler. „Wygra ten morderczy pojedynek jednego przeciw stu — myślałem sobie — i co mu z tego, nie”. Zarty na bok. Jeśli już muszą być te próby indywidualnej szybkości, to niech taka próba stanowi oddzielny etap — i kwita. Nie ma powodu, dla którego 150-kilometrowy trudny odcinek miałby być nie znaczącym półetapem. Tak sobie myśli kibic, ale kibic nie ma nic do powiedzenia.

Przepraszam, czasem ma. Ze przypomnę tylko ostatni mecz Lecha z Lechią i awantury jakie miały miejsce na stadionie. Awanturnicy zostali w prasie ostro napiętnowani. I słusznie. Bo to rzeczywiście wstyd. Czy to jednak kibice, czy też rozhisteryzowani pseudokibice byli autorami tej manifestacji? Nie wiem. Ale wiem, że medal ma także drugą stronę, o której, niestety, nie zawsze mamy ochotę mówić.

Sędziowanie w sporcie to bardzo trudna i odpowiedzialna sprawa. Sędzia piłkarski przeważnie ma ki-

biców przeciwko sobie, bo kibice są zakochani w swojej drużynie, a zakochani są mało obiektywni. Sędzia, bywa w lepszej lub gorszej formie, jak każdemu człowiekowi mogą i jemu przytrafić się błędy. Ale w meczach „najwyższego szczebla”, meczach ekstraklasy rażących błędów powinno być (i zresztą bywa) jak najmniej. A już zgoła nie powinny się zdarzać sytuacje, w których od tychże błędów zależą losy całego meczu. Tak było, niestety, w ubiegłą niedzielę na Dębcu! Wyśitek całej drużyny (lepszej w tym meczu) poszedł na marne, kibic poczuł się skrzywdzony nie w drobniaczkach, ale w rzeczy najważniejszej. Nie sądzę, by ekscesy, które miały miejsce na Dębcu mogły świadczyć o jakimś szczególnym czy wyjątkowym rozwydrzeniu tutejszej publiki piłkarskiej. To raczej bodziec był zgola wyjątkowy, czyli sędziowanie w tym meczu, w którym nie podobne do tego, co zwykło się oglądać na ligowych boiskach.

Nie bronię chuliganów ani nie pochwalam tej formy protestu przeciw złemu sędziowaniu, jaką zaprezentowali kibice Lecha. Ale — bądźmy realistami i nie ludźmy się, że w skali masowej, powszechnej zdobyłmy wychować idealnego kibica, który w pokorze przyjmie każdy dopust boży. Nastroj wielotysięcznego tłumu, jego zbiorowa psychika i jego poczucie fair play — są realną siłą, z którą nie można igrać bez troski. Sędzia sportowy powinien sobie zdawać z tego sprawę, w przeciwnym razie ani się spostrzeże, jak wyzwoli groźnego demona zbiorowej psychozy. A wtedy kończy się wychowawcza czy nawet rozrywkowa rola widowiska sportowego.

50 lat pisarstwa

Kazimiera Iłakowiczówna

Ikarowe loty

Otwierajcie na oścież zorzy złotej wrota!
Jak motyl — skrzydła w słońcu wypreża tęsknota,
jak kamień — na dno duszy opadł stary ból.
Odrzuciła za siebie troski wola dumna,
radosny tryska w niebo, stubańna kolumna,
duch ludzki wyzwolony, zwycięzca i król!

Jak kwiat zapachem — życie moje wzbiera mocą!
jeszcze po ciemnym borze złe duchy topocą
i w zatopione dzwony biją, zmartwych dzwon!
Niech storczyki na grobach kwitną i paprocie,
nam lśni szczęście zdobyte w krwawym trudu pocie,
bije w sercu, drga w dechu umęczonych łon!

Niech strzaskane kolumny po grobowcach leżą...
Nam krew dzwoni na nutę bohaterską, świeżą,
zatechłych mogił obrzydł osmętek i kurz!
Jak świat długi — lodową korę rwą powodzie...
Naprzód... Ster ujmij w rękę! Już spuszczamy łodzie,
my — goncy do nieznanych zdążający mór.

Śmieje się ze mnie dzisiaj życie moje władne,
bom sądził, że tęsknica złamany upadną
i skrzydła zdruzgotane w prochu będę ulókł,
a oto, krwią serdeczną karmiona i ciałem,
dziś tęsknota za słońcem leci zmartwychwstałem...
Ani mnie ból pokonał, ani obłęd zmógł!

Otwierajcie na oścież wrota młodej wiosnie,
a duch wam zolbrzymiały pod niebo urośnie
i — zbywszy wieków, zbywszy żałości i też —
jak orzeł pijany światłem nad chmury wybieży,
niepomny ziemi, żadnej niebacznym rubieży,
bez lęku o zagubę, bez troski o kres!

★

Kazimiera Iłakowiczówna znana jest przede wszystkim jako poetka. Jako taka też debiutowała w literaturze, gdy w 1912 r. ukazał się jej tomik wierszy pt. „Ikarowe loty”. Mija właśnie 50 lat od wydania tej książki dlatego też postanowiliśmy przypomnieć naszym czytelnikom utwór tego tomu.

Mieszkająca obecnie w Poznaniu Kazimiera Iłakowiczówna debiutowała w ogóle wcześniej zamieszczając swój pierwszy wiersz w „Tygodniku Ilustrowanym” już w 1904 r., ale debiutem książkowym były owe „Ikarowe loty”. Do bardziej znanych jej książek należy tom wierszy „Trzy struny” wydany w Piotrogradzie (rok 1917), tom prozy wspomnieniowej „Ścieżka obok drogi”, „Portrety imion” i „Z rozbitego fotoplastikonu”.

Tłumaczenia Iłakowiczówny i to z kilku języków zyskały jej sporo uznania. Po wojnie pisarka przetłumaczyła „Annę Kareninę” Lwa Tołstoja za co zyskała nagrodę polskiego Penklubu. Znała też jest jej przedwojenne tłumaczenie „Don Carlosa” (wierszem rymowanym) Schillera. Sztuka ta była potem kilkakrotnie wystawiana.

Kazimiera Iłakowiczówna pracuje nadal literacko, przygotowuje nowe utwory, mimo nie pierwszej już młodości zachowuje dużą żywotność. „Jak kwiat zapachem — życie moje wzbiera mocą” pisze w cytowanym wierszu. Zdanie to jest ciągle aktualne.

Przyjaciel nie wszędzie ceniony

Dokończenie ze str. 1

osób? W liczbach bezwzględnych wynosiła ona w 1961 r. 278.319 osób tj. 13,7 czytelników na 100 mieszkańców (przeciętna krajowa 12,8). Z bibliotek publicznych w naszym województwie korzysta więcej osób niż np. w woj. krakowskim (12,1), czy też woj. wrocławskim (11,5). Możemy więc z zadowoleniem stwierdzić, że mimo omawianych trudności notujemy stały, poważny wzrost liczby czytelników. Niepokój musi budzić natomiast fakt, że aż 60 proc. ogółu czytelników stanowią dzieci i młodzież ucząca się, dla których podstawową książkę stanowi przecież obowiązkowa literatura szkolna. Ważnym zadaniem więc dla aktywu kulturalnego jest stałe poszukiwanie dla bibliotek czytelnika dorosłego, szczególnie spośród robotników i chłopów. Kto może i powinien to zadanie podjąć? Oczywiście przede wszystkim pracownicy bibliotek, którzy w swoim środowisku są coraz bardziej cenieni i słusznie zaliczani do grona aktywu kulturalnego. Jednym z licznych przykładów dobrej pracy może być zespół pracowników Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krotoszynie,

który poprzez ciekawe, atrakcyjne formy pracy z licznym, bo 130 osób liczącym, Kołem Przyjaciół Biblioteki, nie tylko rozszerza krąg dorosłych czytelników, lecz również uzyskuje społeczne, fundusze na zakup nowości wydawniczych.

Fakt, że około 50 proc. pracowników bibliotek nie posiada do tej pory pełnego średniego wykształcenia, a kwalifikacje wymagane dla bibliotekarzy posiada zaledwie 17 proc. pracowników — musi stać się źródłem niepokoju wszystkich za ten stan odpowiedzialnych. Myślę, że jeśli powiatowe rady narodowe zechcą w najbliższym czasie poddać ten problem analizie, dojdą na pewno do wniosku, że poprawa jakości kadr w bibliotekach uzależniona będzie od poprawy warunków pracy, troskliwego doboru młodych kadr oraz poprawy sytuacji materialnej.

Uchwałę Prezydium WRN rok 1962 został dla naszego województwa ogłoszony „Rokiem bibliotek i czytelnictwa”. Należy mieć nadzieję, że konsekwentna realizacja tej uchwały, w której sprecyzowano szereg środków zaradczych, poprawi znaczną część niedomagań w naszym ruchu czytelniczym.

ZBIGNIEW PAWLAK

Przemysław Bystrzycki

Elita władzy

niem. Chciałem powiedzieć z wypiekami. Nie wypada jednak poważnej dysertacji socjologicznej traktować na psychologicznych prawach powieści kryminalnej.

„Elita władzy” Millsa, udostępniona polskiemu czytelnikowi w dobrym przekładzie przez wydawnictwo „Książka i Wiedza”, jest pozycją, jak na nasze stosunki, rewelacyjną. Rewelacyjną ponieważ studium owo działa jak łaran na zastane i zastate poglądy, działa tym mocniej, ponieważ wyszło ono spod ręki poważnego amerykańskiego uczonego, władającego precyzyjnym zestawem metod współczesnej socjologii. Nagromadzone na kartach rozprawy przykłady, klarowny styl i ścisła terminologia naukowa, dostarcza w rozdziałach końcowych wniosków o pełnej dowodności.

C. Wright Mills należał do średniego pokolenia socjologów amerykańskich, należał przy tym do szkoły postępowej. Wydał moc prac, w tym kilka książek; do najgłośniejszych należą: „White Collar” (1951) — o amerykańskich klasach średnich, „The Cause of the World War Three” (1958), „Liten, Yankee” (1960) — o rewolucji ku bańskiej.

Nie był marksistą, jakkolwiek Mar-

ksa cytował chętnie. Przed dwoma laty bawił w Polsce. Mówił wtedy, że na jego odczyty schodzi się w Ameryce mnóstwo ludzi. Przyjmowany i słuchany chętnie, zebrani bili brawa, po prelekcji sala pustoszała, zostawał sam, gości świątli — i nic się właściwie nie zmieniło. Ponieważ w pojedynkę trudno jest zmieniać.

„Elita władzy” bada sposób, zakres i metody działania kierowniczych warstw amerykańskich. Autor sfery rządzącej dzieli na trzy piony: ludzie przemysłu, ludzie administracji politycznej, ludzie hierarchii wojskowej. Piony te wyrosły w procesach rozwoju społecznego, rodowodem sięgają, z jednej strony, do słynnych „czterystu rodzin metropolii”, które ongiś nadawały ton w kręgach nie tylko towarzyskich, z drugiej — do wypadków politycznych różnej skali: od wojny cywilnej do obu wojen światowych. Piony owe, a właściwie ich szczyty, skupiają całą władzę w dzisiejszych St. Zjednoczonych, w różny jednak sposób na tę władzę wpływają; wedle odmiennych metod dbają o rekrutację zastępców. Członkowie poszczególnych elit prezentują odmienne charaktery i typy psychiczne, a wychowanie progenitury do pewnego tylko stopnia przebiega według wspólnego schematu.



Dokończenie ze str. 1

— Niech Pani powie, jak doszło do tego, że tu powstała świetlica — przerwałem krótkie milczenie.

— Widziałam, jak młodzież wlewała się po wiosce, nie wiedząc co ze sobą robić. Zaczęłam myśleć, czy by nie można było dla niej znaleźć jakiegoś kulturalnego kąta. Tak się złożyło, że ludzie, którzy tu w sąsiedztwie moim mieszkali, wywędrowali. Poszłam więc do Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej.

— Czy ktoś u was złożył wniosek na zajęcie tego mieszkania? — zapytałam.

— Nie.

— Moglibyśmy w nim urządzić świetlicę.

— Czy to się opłaca? Kto się nią zajmie? — padły uwagi. — Przecież pani ma matkę chorą. A poza tym jest we wsi salka.

— Tak, ale w salkie bez sufitu zimno, nieprzytulnie. Z pomocą przyszli kierownik szkoły — Walenty Karolczak. Potem pojechałam do powiatu po meble. Przyznali. Z pieniędzy zarobionych z przedstawienia, które wystawiliśmy i które przygotował nasz kierownik szkoły, kupiłam...

Zasłony na oknach bardzo gustowne. Na tej samej ścianie mapa Polski. Obrazek naklejony na tekturze, trzy inne na przeciwnej ścianie oprawione w skromne ramy, tuż przy wejściu wieszak gwoździami przybity do muru — ze swojego mieszkania przyniosła go pani Jadwiga, bo „...przecież chłopcy muszą gdzieś powiesić czapki”.

Wspomniałem o sprawach pozornie drobnych. Ale na nie trzeba patrzeć nie z góry województwa czy powiatu, ale z dołu — z podwórka Polskiej wioskowej. Mają one swoją wymowę i cenę.

— Chętnie tu młodzież przychodzi? — zapytałam.

— A tak. Szczególnie w okresie jesienno-zimowym. Czyta gazety, słucha radia, gawędzi. Z początku bardzo hałasowała, teraz zupełnie inaczej. Nawet potańczyła sobie. Raz traktorzysta przyniósł adapter ze wsi, bo radio, które mamy, gra za słabo, bardzo przyjemnie się bawiła. Kółko rolnicze też tu urządziło zebranie rozliczeniowe. Przywędrowały ze wsi naczynia, gotowano kielbasę z kapustą — było to prawdziwe wesele!

W głosie pani Jadwigi brzmiała to radość.

Na rozruszaniu świetlicy rola działaczki chrustowskiej się nie skończyła. Entuzjazm swój przelała na 21-letniego syna Henryka, który przewodził Kołu Związku Młodzieży Wiejskiej. Funkcję świetlicowej wzięła na siebie — nie 53-letnia pani Jadwiga — jakby to mogło się wydawać — ale 19-letnia Ewa Dybek, „przecież młodym najlepiej się dogadać z młodymi”. Nauczyciel raz po raz dyskretnie zaglądał do młodzieżowej izby; chodził mu o to, by świetlica spełniała swoje zadanie i dalej się rozwijała.

Pożegnałem panią Jadwigę. Kiedy odjeżdżałem na pewno zaraz zaglądnię do chorej staruszki-matki i przygotowała obiad dla syna, który lada chwila winien wrócić.

★

Jadwiga Kruszkowska nie jest jedną tego rodzaju działaczką. W Nowej Wsi pod Szamotułami mieszka Jerzy Kaczmarek, który duże zasługi położył w rozwoju sieci punktów czytelnictwa. Eleonora Długosz wzorowo prowadzi w Kaczorach bibliotekę gromadzką. W Buczu pod Kościanem sercem sprawy szerzenia kultury oddał się sekretarz Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej — Lud. Fengler. W Tulcach pod Poznaniem niestrudzonego przewodniczącego Prezydium GRN doprowadza do końca budowę Domu Kultury. Nie wymieniam wszystkich — jest ich bardzo dużo, a wśród nich wielu niedostrzeganych, chowających się w cień swoich inicjatyw, ludzi, którzy za swoją pracę nie zawsze otrzymują ciepłe słowo i uznanie. Tym więcej trzeba o nich mówić dziś — w ich święto — w Dzień Działacza Kulturalnego.

JÓZEF PIEPRZYK

Janusz Biniek

Trzy razy o miłości

Pytanie, czym dziełem jest „BURZA NAD STEPEM”, może sprawić nieco kłopotu. Film ten — to prawdziwa wieża Babel: reżyserował go znany twórca włoski A. Lattuada, scenariusz — oparty na puszkinowskich opowiadaniach „Córka kapłana” i „Pugaczow” — przygotowała międzynarodowa trójka, a wśród aktorów znajdziemy: Włochów (S. Mangano, V. Gassman), Amerykanów (Van Heflin, G. Horne, R. Keith), Szwedkę (V. Lindfors) i Austriaków (H. Dantine i O. Homolka). Dodajmy, że film powstał w wyniku kooperacji włosko-francusko-jugosłowiańskiej. Istotne jest jednak inne pytanie, a mianowicie: co z tego wszystkiego wyszło?

Otóż wyszła rzecz zrobiona z rozmachem, barwna i interesująca. Oczywiście, „Burza nad stepem” była pomysłem głównie jako popularne widowisko, ale nazwisko reżysera sprawia, że jest to widowisko na zupełnie przyzwoitym poziomie, coś, co można by umieścić między „Krzyżakami” a „Garbusiem”.

Nie zamierzam bynajmniej zabawiać się w bezpodstępne przymierzanie filmu do jego literackich pierwowzorów. Lattuada interesowała w tym wypadku nie tyle warstwa historyczna czy psychologiczna opowiadań Puszki, ile malowniczość tła, postaci, kostiumów i samej fabuły. Wyeksponował więc wszystko to, co zwykle najbardziej podoba się w tego rodzaju filmach: romantyczną miłość, wierność, zdradę; nadął całości wartkie tempo i przyozdobił nakręconymi z rozmachem scenami bitew. Rzecz kończy się, jak kończyć się powinna: romantyczna miłość zwycięża wszystkie przeszkody. Przy tym wszystkim — prawdziwie tragiczna postać Pugaczowa, bynajmniej nie wyobcowana ze społecznego tła. Pełnokrwiste, wyraziste sylwetki, choć aktorsko nierówne. Ciekawy epizod V. Lindfors w roli Katarzyny. Kolor, szeroki ekran. Wróżyć filmowi duże powodzenie.

O szwedzkim filmie „GRA ZWA NA MIŁOŚCIĄ” (reż. Kenne Fant) afisz głosi, iż jest to komedia nieporozumień. Z tymi nieporozumieniami autorowi afisza przydarzyło się małe nieporozumienie terminologiczne. A co z komedią?

Jest to raczej komedia serio, albo inaczej: film, mówiący o sprawach na pozór tylko śmiesznych. Temat stary jak świat: małżeństwo, młode jeszcze i kochające się, lecz już znudzone sobą.

Rzuca się w oczy, iż rzecz powstała w odczynie wielkiego Bergmana. Ale zamiast jego mrocznej, niepokojącej, sarkastycznej filozofii mamy filozofię bardziej „życiową”, na codzień, podaną z dystansu, z przymrużeniem oka. Przynam się, że — gdy chodzi o sprawy serio — wolę Bergmana; sądzę też, że owo przymrużenie oka, szczególnie w tej dziedzinie, jest o wiele zabawniejsze w filmach francuskich. „Gra zwana miłością” zawisła — moim zdaniem — nieco bezradnie w połowie, jak grób Mahometa: obok pseudobergmanowskiego nocnego gościa wyświetlającego filmy, mamy pseudokomicznego przyjaciela ze śpiwozem i siatką na motyle. Najlepsze są filmy, które wyświetla ów tajemniczy, nocny gość. Bibi Andersson jako Lena pomysłowo, acz bez większego przekonania wcieliła się w nich w kolejne obiekty marzeń męża Leny, Svena. Dobra obserwacja współczesnej obyczajowości.

Do serii operetkowych adaptacji doszła nowa, pt. „PIĘKNA LURETTA”. Luretta jest rzeczywiście piękna, ale operetka ta nie należy do najlepszych dzieł Offenbacha, a jej filmowe wcielenie nie grzeszy nadmiarem pomysłowości i lekkości. Wyszędłem z kina w dość ponurym nastroju.

C. Wright Mills „Elita władzy”, wyd. K. i W. 1961, K. 536.

Nasza wiedza o Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej jest niepełna. Oddalenie geograficzne i różnice systemów ekonomiczno-społecznych powodują, że zainteresowani jesteśmy jedynie niektórymi problemami USA, nie zawsze odgrywającymi za oceanem pierwszoplanową rolę. Czerpiemy tę wiedzę z radia, z literatury, z broszur politycznych, z obcych wydawnictw. Jakiegolwiek byłoby źródło kształtujące naszą wizję tamtego kontynentu, jakże u niego egzystuje wizja prywatna, której obraz bliższy jest arkiadyjskiej szczęśliwości powszechnej wysokiej stopy życiowej, stosunków międzyludzkich tak ułożonych, że wystarczy posiadać odpowiednią dozę przedsiębiorczości i energii, no i trochę szczęścia, by na wzór owych dzisiejszych milionerów, którzy ongiś zaczęli od sprzedawania gazet albo komiwojażerstwa, dościsnąć do szczęścia posiadania wielozero-owych kont w bankach.

Ta wizja prywatna jest oporna, tradycyjna, dzielna. Walczy z informacją, nie zawsze, co prawda, szczęśliwą, dostarczaną przez naszą prasę, walczy z rozbijaczem tamtejszych mitów, jakim w sporym stopniu stał się teatr amerykański (kilka wybitniejszych pozycji scenicznych oglądaliśmy u nas), walczy z niefalszowanym obrazem literackim. Słowem — wielu żywi wyraźną niechęć przed zabawieniem się w Kolumbów i odkrywaniem Ameryki od nowa.

Książkę niedawno zmarłego socjologa amerykańskiego C. Wrighta Millsa czytałem z prawdziwym zainteresowa-

Nareszcie wszystko jasne

O d dłuższego czasu część „teoretyków” rewizjonistycznych organizacji przesiedleńczych w NRF próbuje przedstawić swój agresywny program aneksji polskich ziem zachodnich i północnych w postaci rzekomo nader pokojowych rozwiązań „europejskich”. Ma to ułatwić opinii zachodniej zaaprobowanie rewizjonistycznych planów — bratając bowiem stwierdzenie, że idzie o cudze ziemie i że ich zabór byłby związany z wysiedleniem zamieszkujących te tereny 8 milionów Polaków — budzi wyraźne opory u sojuszników NRF. Nowi „teoretycy” twierdzą więc, że wszystko odbędzie się pokojowo i ku obojętnemu zadowoleniu, ale dotychczas nie potrafili powiedzieć w jaki konkretnie sposób będzie to możliwe do zrealizowania.

Dzisiaj sytuacja jest już inna. Bezradnym politykom rewizjonistycznym przyszedł w sukurs publicysta Erwin Rogalla, który w artykule opublikowanym w biuletynie przesiedleńczym „hvp” (nr 13 z 28. III. 62 r.) wyjaśnił dokładnie jak sprawy się potoczą.

A więc — po pierwsze — nie powstanie w ogóle konieczność „wypędzenia” Polaków, bo... „Polacy ściągą na tereny nad Odrą i Nysą przy pomocy wielu obietnic i ułatwień — w ogóle tam nie wrośli”.

Nie wierzyć? Dlaczego? Przecież pan Rogalla wie z całą pewnością, że „są oni skłonni zmienić swe miejsce pobytu, jeżeli tylko mieliby

gdziekolwiek indziej bardziej dogodne warunki życia...”

Wprawdzie nawet niemiecki rewizjonista gdzieś tam usłyszał, że mówienie o poczuciu tymczasowości mieszkańców ziem zachodnich jest już anachronizmem, ale szybko się pociesza, że to na pewno nieprawda i spokojnie poucza dalej. Twierdzi mianowicie, że skoro można było zintegrować przesiedleńców w NRF, to równie bez trudności można będzie stworzyć Polakom zamieszkałym na ziemiach zachodnich „tak ekonomicznie atrakcyjne warunki przesiedlenia do Polski jak to jest tylko możliwe”. Aby nie było niejasności, dobry Rogalla radzi Polsce, aby dla podniesienia owej „atrakcyjności” budować domy mieszkalne, fabryki, budynki administracyjne...

No, ale może ktoś ma jeszcze wątpliwości, czy będzie to aby realne, więc pan Rogalla uspokaja, że bynajmniej nie żąda, by cała ludność polska opuściła tereny ziem zachodnich. Ci, którzy zechcą „będą mogli pozostać, korzystając z pełnych praw obywateli niemieckich, więcej, będą mogli uzyskać wszystkie przywileje przysługujące mniejszościom narodowym...”

Wzruszająca perspektywa, prawda? A już lży rozrzuśnięcia wyciska końcowa uwaga, że istnieje będzie pełna swoboda wyboru miejsca zamieszkania, że Polacy będą mogli przenieść się np. do Zagłębia Ruhry, albo w ogóle opuścić Niemcy i udać się „gdziekolwiek na Zachód lub Wschód”.

Nie pozostaje więc nic innego, jak podziękować publicystę „hvp” za przejrzyisty wykład. Teraz rzeczywiście wszystko jest jasne!

Z. A.

Jubileuszowe wydanie dzieł Prusa

19 maja rozpoczyna się w całym kraju uroczyste obchody 50 rocznicy śmierci wielkiego pisarza — Bolesława Prusa. Jego książki cieszą się u nas niebywale wprost popularnością: w okresie ostatniego 17-lecia osiągnęły nakład blisko 9,5 mln. egzemplarzy.

Obecnie PIW przygotowuje dalsze, jubileuszowe wydania. Jeszcze w b.m. na rynku księgarskim ukazały się niepublikowane dotąd listy pisarza do Aliny Saczewicowej, wódwy po lekarzu zakładu w Naleczowie, a dotyczące jej dziecka — chrześniaka Prusa. Listy, pod ogólnym tytułem „Ostatnia miłość Bolesława Prusa”, opracowała Gabriela Pauszer-Klonowska, autorka powieści o pisarzu. Poza tym w najbliższych miesiącach PIW wyda „Wspomnienia o Bolesławie Prusie” w opracowaniu Stanisława Fity, szkice L. Grzeniewskiego — „Warszawa w Łalce” Prusa oraz dzieła pisarza: „Lalkę” — wydanie ozdobne z ilustracjami Uniechowskiego, „Faraona”, „Kroniki” (tom XII i XIII), „Placówkę”, „Wybór nowel”, „Sierocę dole”, „Anielkę”. Ostatnie cztery pozycje ukazały się w serii „Biblioteki Szkolnej”.

(te)

Eugeniusz Pauksztla

Kiermaszowe okazje

W trakcie „Dni Oświaty, Książki i Prasy”, w księgarniach ruch jak w okresie gwiazdkowym. A jeszcze dochodzą tak popularne kiermasze książkowe na otwartej przestrzeni. Wydawnictwa postarali się by półki zaopatrzone były w tym czasie w atrakcyjne nowości. Tytuły synęły lawiną. Żeby zapaleni bibliofile nie przeoczyli ciekawszych pozycji, w bieżących przeglądach będą się starać dać pełniejsze wykazy nowych tytułów.

Zaczynamy od Państwowego Instytutu Wydawniczego. Sporo tutaj nowości. Zbieraczy świetnych serii „Powieści XX wieku” i „Biblioteki arcydzieł” uraduje wiadomość, że w pierwszej z tych serii ukazały się André Gide’a „LOCHY WATYKANU” w świetnym przekładzie Boy’a. Nie trzeba mówić o wartościach tej parodystycznej, zjadliwie żarliwej książki, o wciąż żywej postaci Lafcadii, i dziś jeszcze znajdującej swoich wiernych wyznawców. Drugą pozycją z tej samej serii jest wznowienie po raz pierwszy po wojnie „KŁĘBOWISKA ZMIJ” François Mauriac’a, głoszącej powieści sędziwego dzisiaj pisarza, zjednującego czytelnika swą bezkompromisowością w rozważaniu spraw społecznych i moralnych.

W stulecie od ukazania się „NEDZNIKOW” Wiktora Hugo, PIW-owska „Biblioteka Arcydzieł” wzbogacona została o nowe wydanie tej powieści, wabiące piękną szatą graficzną. Dobrze, że powieść ta, największe dzieło Hugo, dotrze do nowych zastępów odbiorców, zwłaszcza młodzieży, która z zapałem nie mniejszym od poprzednich pokoleń odbierać będzie utwór, aprobowane albo odrzucające pasjonującą jego zawartość filozoficzną, polityczną i socjologiczną kryjącą się pod sensacyjną warstwą fabuły. W tej samej bibliotece ukazały się, również w pięknej szacie edytorskiej, Honoriusza Balzaca „STRACONE ZŁUDZENIA” oraz „BLASKI I NEDZE ŻYCIA KURTYZANY”. Do Balzaca nie trzeba nikogo zachęcać, ma on swych wiernych, zaprzysiężonych entuzjastów. Podobnie, wydany w tych samych ramach, entuzjastów znajdzie na pewno Walter Scott przez powieść „WAWERLEY”, osnutą na tle dziejów powstania szkockiego z r. 1745, dążącego do przywrócenia tronu dynastii Stuartów.

Tyle z klasyki PIW-owskiej. Ale na tym nie koniec, PIW bowiem rzucił na rynek czytelnicy wiele innych jeszcze nowości. I tak, dobrze się stało, że wznowione zostało „POTĘPIENIE PAGANINIEGO” Anatola Winogradowa, piękna opowieść o dramatycznych losach wielkiego skrzypka, rzucona na tło konfliktów społecznych i politycznych. Bestsellerem stanie się też nowe wydanie (nakład 30 tys. egz.) „POŻEGNANIA Z BRONIA” Ernesta Hemingway’a autora najświetniejszego cięskiego się u nas olbrzymią poczytnością. Bardzo też polecam „PODRÓŻNICZKĘ” Gisèle Prassier.

nos, śliczną, doskonale napisaną opowieść psychologiczną z paru go dzin życia młodej kobiety, godzin, których rezultatem stają się decyzje o decydującym znaczeniu. Urzeka poetyckość utworu tej Greczynki wychowanej we Francji, umiającej pogodzić w sobie wpływy dwóch wielkich kultur i z tego pojęcia wydobyć nowe, zaskakujące swą głębią treści. Entuzjaści głoszący opery G. Gershwina „Porgy i Bess”, z przyjemnością przeczytają powieść Du Bose Heywarda „PORGY”, utwór, którego urok i głęboka, współczująca prawda w odtwarzaniu murzyńskiej doli natłoczonych Gershwina do skomponowania oryginalnej opery.

„MIT ŚRÓDZIEMNOMORSKI” Mieczysława Jastruna, to zbiór głębokich, prześlicznych językiem pisanych esejów o sprawach najszerszej pojmowanej kultury. Ciekawy podkład filozoficzny, odwaga rozważań, czytanie w światowej litera-

w nich traci myślką, ale znajdzie się nie mniej żywych tonów. W każdym razie, piękna wydawnicza inicjatywa w 120-lecie urodzin pi-sarki.

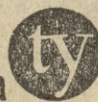
Z przykładów wymienić trzeba kilka cennych pozycji. Przede wszystkim wznowienie „WIELKIEGO TYGODNIA” Aragona, powieści określonej przez krytyków nie jako romans historyczny, ale Romans Historii, w dodatku taki, gdzie mianem się mówi o tym co wczoraj, natomiast więcej myśli o tym, co jutro. W popularnej serii z „Nike” wydano „HISTORIĘ KOSMICZNA” Anatola France’a w doskonałym przekładzie Pawła Hertza, jest to jeden rarytas dla zapamiętałych łowców miniaturowych książeczek tej wziętej serii.

Nie trzeba też na pewno zachęcać do lektury „SKOKU NA POŁUDNIE” Konstantego Paustowskiego, jednego z najbardziej u nas lubianych pisarzy radzieckich. Jest to piąta część cyklu autobiograficznego, obraz dwóch lat spędzonych na Kaukazie i Zakaukazie, multum ludzi i wydarzeń i, jak zawsze, ta poetycka, uroczą frazą Paustowskiego, liryczna żąduma, urzeczenie urodą świata. Bardzo bym także polecił czytelnikom małą książeczkę pisarza kirgiskiego Czimgiz Ajmatowa „MOJA DZIEWCZYNA”, śliczną opowieść o pechowym, nieudanym życiu, które przecież jeszcze kiedyś doczeka się wszelkiej nadziei szczęścia i spokoju.

Bogaty jest „czytelnikowski” zestaw pozycji literatury polskiej. Sygnalizuję nową serię, formatu jak ta z „Nike”, obejmującą wyłącznie polskie. Ukazały się już: zbiór opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza „TATARAK”, opowiadania Kazimierza Brandysa „ROMANTYCZNOŚĆ” oraz powieść Marii Kuncewiczowej „CUDZOZIEMKA”. Radzę kompletować, śliczne wydania, piękna treść.

W innych już wydaniach wznowiono wybór najlepszych tekstów Stanisława Zielińskiego „OPOWIADANIA”. Parodysta, mistrz groteskowych ujęć, wspaniały narrator prezentuje tutaj swój dorobek. Ślicznie, albumikowo, w opracowaniu graficznym Bohdana Butenki, wydano też „FANTAS-MAGORIE” Tadeusza Kubiaka, częściowo znane z „Świata”; świetna liryka, raz z kpinką, to znów z lekka, z sentymentem, to znów z nonszalancją podpatrującą wnętrza człowieka. Koniecznie też radzę zakupić ostatnią powieść dopiero zmarłego pisarza Władysława Żambrzyckiego „KASKADA FRANCHIMONT”, dzieje pary Polaków w Belgii, dowcip, humor, anegdota, kapitalne sytuacje, w sumie świetny tekst i doskonała wypoczynkowa lektura. I jeszcze dwie książki. Z tomu opowiadań Zofii Bystrzyckiej „ONI”, panie dowiedzą się wiele o mężczyznach, hm, złośliwie, ale niegorzej tu podpatrzonych. Inni mogą zaś z nowej powieści Krystyny Nepomuckiej „ROZWÓD NIEDOSKONAŁY” doczytać i taki akt życiowych losów.

z książką na



turze, sprawiają, iż lektura ta, w magająca skupienia, ukaże czytelnikowi pełniej niejedno ze zjawisk złożonego świata dnia dzisiejszego. Inny rodzaj twórczości reprezentuje Antoni Słonimski w tomie „ZAŁATWIONE ODMOWNIE”, gdzie wspaniały ten ironista zebrał swe felietony, konfrontacje, polemiki i fraszki, jak zawsze godne jego świetnego pióra. Przeczytajcie, ubawcie się, zadumajcie...

I jeszcze dwa debiuty z bogatego zestawu książek PIW-u. Pierwszym jest „MILCZENIE” Jerzego Szczęgły, powieść związana ze sro dowiskami młodzieżowymi. Szczegółowiec nie tylko podpatrzył życie młodego pokolenia, ale i ukazał w nim cenne humanistyczne wartości. Mimo pewnego przegadania i niedostatku natury formalnej książka jest niewątpliwym sukcesem i wartą polecenia lekturą. Drugim debiutem są „WAKACJE HIOBA” Bohdana Wojdowskiego, dotąd znanego głównie z reporterek i publicystyki. Ta zaprawa dziennikarska sprawiła, iż Wojdowski zaskakuje po prostu dojrzałością i zakresem swych obserwacji. Opowiadania Wojdowskiego, tkwiące w pełni we współczesności, ukazują ją czasem od zgoła niespodziewanych stron i wiele rzeczy dopiero pozwalają pełniej rozumieć. War tościowy debiut, zajmująca lektura.

Pora przejść do książek drugiego „molocho” wydawniczego, jakim jest „Czytelnik”. I tutaj sporo cennych pozycji. Osobiście bardzo się ucieszyłem, widząc dwutomowe wydanie „NOWEL” Marii Konopnickiej. Autorce tej wyrządzano krzywdę, mówiąc o jej dorobku z lekceważeniem, nie tylko często za pominięcia roli, jaką odegrała w życiu polskim, ale i o obiektywnej wartości jej utworów, zwłaszcza nowelistycznych. Pewnie, niejedno

wość przewyciężenia hamulcy rozwoju kultury fizycznej w oparciu o posiadane środki finansowe. Chodzi konkretnie o sprawy, którymi zajmowaliśmy się także na łamach „Głosu”, a więc o to, by kierownicy szkół nie traktowali wychowania fizycznego po macoszemu, by ludzie w prze- dyach rad narodowych przy podejmowaniu decyzji inwestycyjnych zaczęli odróżniać, że obiekty typu widowiskowego (stadiony) są pożyteczne, a obiekty naprawdę sportowe (boiska, baseny itp.) są konieczne.

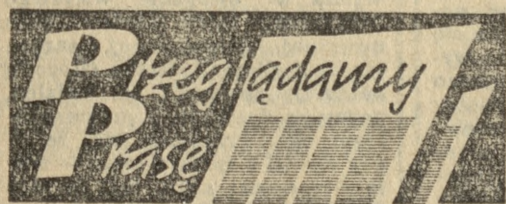
Asekurantwo i wygodnictwo

Tymi dwoma plagami społecznymi zajmuje się na łamach Przeglądu Kulturalnego — Jan Szczepański. Określając treść tych pojęć — autor pisze m. in.

„Asekurant dąży stale do ograniczania zakresu swojej inicjatywy i nie wykorzystuje swoich uprawnień służbowych do załatwiania spraw, jeżeli nie ma pełnej gwarancji, że z tym załatwieniem nie jest związane jakiejkolwiek ryzyko podejmowania odpowiedzialności na własną rękę. Wygodnictwo w istocie rzeczy jest szukaniem takiej interpretacji przepisów, która zwalnia od podejmowania czynności.”

Skuteczne środki przeciwdziałania według autora powinni pozbawić asekurantów i wygodni- stów instytucjonalnego oparcia. Chodzi zwłaszcza o eliminowanie krzyżowania się kompetencji władz, usprawnianie organizacji pracy kierowni- ców i kontrolni, różnicowanie płac i nagród, m. in. na podstawie kryterium premiowania odwagi w podejmowaniu odpowiedzialności oraz upraszc- zania aparatu urzędowego załatwiającego sprawy, tak by odpowiedzialność za wykonywanie czy załatwianie jednej sprawy nie rozkładała się na kilka instytucji i na dziesiątki osób.

LEKTOR



Świadectwo osiągnięć

„Polnische Wirtschaft”. Ileż lekceważenia, ba, pogardy wkładali niemieccy Junkrzy i rycerze — „Drang nach Osten” w to sformułowanie. Korzystając ze słabości ekonomicznej naszego kraju, głosili teorię o polskiej nieumiejętności gospodarzenia. Ale zmieniała się sytuacja ekonomiczna — musiała się zmieniać i treść hasła. Nawet publicyści zachodniemieccy, poważnie traktujący swą twórczość, wymawiają te dwa słowa bez od- cienia lekceważącego. Wręcz odwrotnie. „Polnische Wirtschaft” coraz częściej jest synonimem podziwu dla przeobrażeń gospodarczych, dokonanych w naszym kraju, a zwłaszcza na ziemiach zachodnich. A szczególnie dziwi i cieszy naszych przyjaciół, dziwi i drażni naszych „wrogów” proces integrowania tych obszarów z resztą macierzy.

Takimi ważnymi argumentami w walce z rewizjonizmem zachodniemieckim rozpoczyna Karol Szwarc artykuł w Życiu Gospodarczym. O dynamizmie rozwoju gospodarki na ziemiach zachodnich świadczą zaś takie fakty: w ub. r. globalna produkcja przemysłowa Polski wzrosła o 10,6 proc., a na ziemiach zachodnich — o 12,3 proc.; w ub. r. plony czterech zbóż wynosiły na ZZ 18,1 q z ha, co oznacza przekroczenie planów średnich z lat 1934—38 (17,8 q); w 1961 r. ZZ zamieszkiwało 7,9 mln. Polaków, podczas gdy przed wojną Niemców było tu około 7 mln. Roz-

wój tych ziem jest dziełem prawie wyłącznie naszych rąk.

Jubileusz Marii Dąbrowskiej

W przededniu doniosłego wydarzenia, jakim jest jubileusz 50-lecia pracy twórczej wybitnej pi-sarki polskiej Marii Dąbrowskiej Nowa Kultura przynosi obszerny szkic Lesława M. Bartelskiego. Oceniając twórczość pisarki autor stwierdza m. in.: „W życiorysie Marii Dąbrowskiej nie ma nic, co by wykraczało poza zwyczajność. Oczywiście z wyjątkiem twórczości. Jej biografia, to dzieła, w nich tkwi wielkość jej życia. Jego nadzwyczajnością było właśnie silne powiązanie się z e-poką poprzez jej rozumienie i poprzez obywatel-ski stosunek do wypadków historycznych i prze-mian społecznych. Dąbrowska nie ujmowała życia z pozycji drwiącego sceptyka, klerka zamkniętego w wieży z kości sionowej, ale też nie brała go z pozycji agitatora wiecowego czy try-buna ludowego. Stroniła od demagogii artystycznej, zawsze z wielką powagą podejmując ważne decyzje, na które składa się jej twórczość.”

Czas nie pieniądź!

W sukurs naszej akcji „W poszukiwaniu straconego czasu” przychodzi Tygodnik Demokra-tyczny. Autor artykułu — Wiesław Wernic podaje taki przykład z książki G. Bequaria: „Jeśli przyjmiemy, że jeden człowiek, pracu-jąc wydajnie, zdolny jest dać produkcję, prze-kraczającą wartościowo trzykrotnie jego uposa-żenie, jeżeli człowiek, zarabiający 200 franków na godzinę, to jest 500.000 franków rocznie, traci ten czas niepotrzebnie na czekanie — kraj traci produkcję, wartości 1.500.000 franków rocznie. — Konkluzja: stale się utrzymująca kolejka z 10 osób, stawia za sobą marnotrawstwo roczne w wysokości 15 milionów.”

Pisząc o konkretnych przykładach marnotraw-stwa czasu autor stwierdza: niemal wszystkie na-

sze urzędy czynne są w godzinach pracy, jakby większość obywateli w Polsce nie pracowała zawodowo; znany w świecie system otwierania skle-pów w niedziele jest u nas sprowadzony do wy-jątkowych wypadków i do wyjątkowych sklepów; w trosce o oszczędności na funduszu osobowym zamyka się w instytucjach np. jedno okienko, a tym, że do okienka pozostałego urzędnika two-rzą się kolejki, kierownictwo biura się nie intere-suje; większości osób jeżdżących na tzw. dele-gacje służbowe zabrania się korzystania z komu-nikacji samolotowej, chociaż przejazdy pocią-giem (często osobowym) pochłaniają mnóstwo czasu.

„Stare powiedzonko Czas, to pieniądź — koń-czy autor — stało się u nas wyświechtanym sło-ganem. Maszynny, skracający czas pracy i oczeki-wania — są drogie. Czas jest tani, bardzo tani, prawie bezwartościowy (...). Marnujemy miliony złotych w milionach straconych godzin.”

Piątka z Krzyżeniami

To jeden z śródtytułów sygnalizowanego już na naszych łamach cyklu Polityki pt. Polska gola!.

Tym razem Andrzej Mozołowski zajmuje się sy-tuacją wychowania fizycznego. „U nas młodzież — stwierdza — pływać na ogół nie umie, do łaźni nie chodzi; sal gimnastycz-nych przeważnie też nie ma, mamy za to stadion na 100 tysięcy widzów i narciarską skocznię ige-litową w stolicy, czym się np. ani Londyn, ani Sztokholm pochwalić nie może (...). Długo jesz-cze, bardzo długo, w szkołach hodować się będą zastępy cherlaków i siłabusz, z piaskostopiem i skrzywieniami kręgosłupa, niedorozwojem klat-ki piersiowej i stoma innymi wadami budowy. Nie sposób się nie zgodzić z trafną tezą autora, że nasze społeczeństwo nie uprawia sportu, lecz się nim interesuje. Autor widzi możli-